

Moi Kochani!

Ponownie pokusiłam się o napisanie paru słów, bowiem temat powrócił do mnie jak bumerang jakiś... Sama lepiej bym tego nie wymyśliła. Naprawdę. Zawsze uważałam, że wyobraźnię posiadam dużą, zdolną do tworzenia historii łącznie zawiłych i pokrętnych. Chylę jednak czoła przed losem i jego pomysłowością, i chyba czas najwyższy uwierzyć wreszcie w siły wyższe, przeznaczenie, i takie tam, oraz pogodzić się z faktem niemożności przeskoczenia Tego Czegoś. No bo jak inaczej podejść do tematu, logicznie ogarnąć sytuację, wytłumaczyć fakt, że kiedy wreszcie nareszcie udało mi się fizycznie być na weselu przyjaciół, cieszyć się ich szczęściem, nieźle bawić do białego rana, byłam zmuszona moją obecnością „odpokutować”? Tradycyjnie sprawa nie dotyczy ślubu - uroczystości kościelnej, na której bywałam i wcześniej. Wszystko rozbija się o część przyjęcia weselnego.

Ale od początku.

Tym razem uroczystości miały miejsce w piątek. Nietypowo jak dla mnie, chociaż ostatnio podobno dość powszednie. Bardzo naiwnie wzięłam to za dobry omen. I naprawdę tak było... do czasu. Zdażyłam z przygotowaniem kreacji, doborem niezbędnych drobiazgów, koleżanka wykazała się łącznie wysokim kunsztem fryzjerskim, ani ja, ani nikt potrzebujący mojej opieki nie zachorował, dom cały, samochód sprawny, nawet pies był grzeczny, co w tym przypadku naprawdę nie jest trywialnym stwierdzeniem. Nasz pupil bowiem nie umie sam zostawać w domu i w akcie zemsty urządza psie „koncerty”. Mając niezłego moralniaka względem sąsiadów, z góry uprzedziłam o wszelkich hałasach, którymi mogą zostać uraczeni tej jednej jedynej nocy.

Obdarzona duchowym wsparciem dobrych dusz, odetchnęłam z niemałą ulgą, ruszając na uroczystości. Ślub piękny, wesele cudne, wszyscy bawili się świetnie. Mój dramat rozpoczął się następnego dnia, kiedy to zaczęłam mieć coraz częstsze kontakty z miejscem do którego królowie piechotą chadzali. Ku mojej rozpaczy dwa dni weekendu okazały się za krótkim okresem na opanowanie wroga. Pominę szczegóły techniczne. Powiem tylko, że sprawa przybrała niebezpieczny obrót, którego finałem była całonocna obserwacja na szpitalnej izbie przyjęć. Do tego przyplątało się od razu przeziębienie. Zarazki po prostu miały raj, ponieważ wobec wspomnianych kłopotów, przyjmowanie jakichkolwiek leków antygrypowych okazało się niemożliwe. Podejrzywałam ogólne zatrucie, naturalnie. Może nieświeża

sałateczka, tudzież śledzik... Nic bardziej mylnego. Z całego towarzystwa weselnego zachorowałam jedynie JA. I jak tu nie wierzyć w siły nadprzyrodzone?! Coś leży na rzeczy, jak nic. Mnie leżało też na żołądku. Trzymało długo, skubane, dając czas na głębokie przemyślenia.

Z nieznanych mi naprawdę przyczyn, NIE MOGĘ brać udziału w takich uroczystościach. Jak bum cyk, cyk. Wesela są po prostu nie-dla-mnie. Żegnajcie weselne toasty, adieu. W świetle przebytych doświadczeń, odważnie powiem, że mogę uczestniczyć w ślubach, śmiało składać życzenia nowożeńcom i sypać ryż, tudzież grosiki. Chociaż tyle. Albo aż. Może to wszystko ma związek z własnym weselem, lub nie weseleniem się. Może mam nie łapać welonów, bo przyniesie to więcej łez niż szczęścia... Może... Uwierzcie, leżąc na szpitalnym łóżku, w ciemnej sali, różne myśli przychodzą do głowy. Mniej racjonalne, przede wszystkim.

Na koniec mych żalów, dygresyjka - nie pomógł nawet grosik znaleziony „na szczęście” w taksówce w drodze na uroczystości.

Nieustannie życząca Wszystkim Bliskim
najlepszego na nowej drodze życia
(mimo wszystko!)

M

Olsztyn, maj/czerwiec 2009